NUMER 21. DNIA 25-go MAJA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

O Młodzieży.

(Z powodu umieszczonej przez Akademję francuską książki C. Wagnera: „Młodzież“.

Na czole mijającego pokolenia zadumę widać i troskę wielką: Tak na świecie dziś wszystko w gruzy upada, a na wsze strony trzeszczy budowa wieków, że starszym smutno, bo niewiedzieć czy z ruin wystrzeli życie nowe, takie życie, co prawdziwym się stanie wykładnikiem trudu pokoleń przeszłych, syntezą ducha całych stuleci.

Każde pokolenie duma tak samo nad kolebką ludzi nowych i nowych czasów. Młodzież pracy starszych i myśli nie przyjmie z taką miłością, z jaką oni swoje wypiastowali ideały, lecz weźmie je jako spuściznę tylko z natury rzeczy jej należną, i na niej dopiero własny gmach budować będzie. I stąd bojaźń i troska tych, co umrzeć mają niebawem, żal, że ich rola skończona pomimo, że tyle w niej mieli jeszcze do powiedzenia.

Duma nad młodzieżą francuską i autor francuski wyżej wymieniony. Chciałby on ją widzieć wielką i przemożną piastunką wielkich idei, ale równocześnie refleksja i zwątpienie toczy serce jego. Więc krok za krokiem rozbiera spuściznę przeszłości, badawczo spogląda na tych, co ten spadek odziedziczą i szepce im wreszcie do ucha, jak spadek ów zachować mają, co zeń odrzucić jako rzecz niepotrzebną, co zachować pilnie i użyć do nowych gmachów budowy.

I to jest główna treść trzech ksiąg, na które się dzieli dzieło Wagnera: „dziedzictwo“ — „spadkobiercy“ — „ku źródłom i szczytom“.

„Dziedzictwo“ przedstawia się w całym blasku potęgi i mocy rozumu ludzkiego. Ogień wprzągł się do wozu człowieka, piorun stał się jego posłańcem, historja nauczyła go mądrości, pobłażliwości i łaskawości — sprawiedliwość rządzi osobnikami i społeczeństwami. Ale w miarę jak dzieła nasze urosły, my zmaleliśmy okrutnie. Cywilizacja pionowym swym ciężarem opiera się na człowieku, a tymczasem człowiek jest osłabiony różnymi wpływami, więc i ta sama cywilizacja grozi zwaleniem się nam na głowy. Wśród tylu zdobyczy wieku ubożeliśmy nieustannie i postępowo — tracąc energję moralną, uczucie braterstwa i wiarę: Brak wszędzie... c z ł o w i e k a.

Smutny więc, mimo pozorów świetności, spadek dostanie się młodzieży dzisiejszej. Młodzież ta, jej przymioty i wady, typy i dążenia stanowi cel drugiej księgi dzieła Wagnera. Zebrawszy wszystko cokolwiek złego lub dobrego powiedzieć się dało o młodzieży dzisiejszej i o wszystkich jej odłamach w szczególności, kończy autor nadzieją, że mimo chmur czarnych, nędz, błędów i złudzeń, nowy duch wstępuje w serca naszej młodzieży. — Jest on jeszcze tajemniczy, ale bliski i może być wspaniały. Wobec brutalnych praw pochłaniającego wszystko egoizmu, wobec sofizmatów w idei i w życiu, należy pokochać sprawiedliwość, prostotę, prawdę. Przyszłość należy tylko do wierzących i patrzących trzeźwo — nabierajmy więc hartu u źródeł

i dążmy ku szczytom! Szczyt to przeczucie rzeczy wiecznych, które nastąpią po przemijających, a droga ku niemu wiedzie przez trud, pracę, wiarę i miłość.

Oto jest kwintesencja książki Wagnera. Przeznaczona dla dzieci ojczyzny wolnej i szczęśliwej, z natury rzeczy pomija ona wiele rzeczy, których pominąć nie może naród biedny i tak jak nasz nieszczęśliwy.

Bo i zresztą o młodzieży polskiej nie można mówić tak samo jak o francuskiej, niemieckiej i t. d. W wyjątkowem naszem położeniu w bolach i nędzy porozbiorowej młodzież staje się czemś nieledwie mistycznem, symbolem nadziei, która życiem całem naszem i przyszłością. Może ta młodzież nasza, najmłodsze pokolenie oglądać będzie to, czego nasze oczy napróżno przez żywot wypatrywały, może ona szczęśliwszą będzie od nas i lepszą...

I z tego właśnie wyjątkowego położenia naszego wynika fakt, że do życia i czynów młodzieży tak ogromną przywiązuje się wagę. — Narodowe puszczyki argusowem śledzą spojrzeniem każdy jej występ, chcieliby ją czemprędzej upaństwowić, inkamerować, zabić w niej ducha, który tak bardzo przeszkadza ich spokojnemu trawieniu. Natomiast wszystko co lepsze w narodzie patrzy na młode zastępy z miłością i serdeczną troską, widzi w nich spadkobierców idei i dążeń wolnościowych, których wszystkie nasze młode porozbiorowe pokolenia najczystszym i najofiarniejszym były wyrazem.

Po tamtej stronie, obok narodowego pożarnictwa, szkoła obca, złote kołnierze, rangi i zabezpieczone byty, po stronie drugiej tylko idea niezapomniana i święta, — a jednak mimo wszystko puszczyki doznają od czasu do czasu lęku, co jest najlepszym dowodem, że wszystkie ich prace nie zawsze i wszędzie zamierzony przynoszą skutek.

Nie — na młodzież naszą narzekać nie trzeba... ona zawsze jednakowa — dobra, nasza i kochana. Francuz lub Niemiec jużby się w naszem położeniu może i z losem pogodził, a nasza młodzież nie zna ugody i mimo tylu ujemnych wpływów zawsze ofiarna i do poświęceń skora.

...Na młodzież naszą narzekać nie trzeba... bo przecież dziś ona się narodu staje sumieniem. Dzieci wrzesińskie, młodzież siedlecka wstrzymują pęd owczy, co niósł niektórych... w śmiertelne objęcia. — Więc nie narzekać nam, a raczej się chlubić, że taką mamy młodzież, takich następców pokolenia, co za tę samą ideę marło po lasach i kaźniach.

Fr. Jaw.

WISŁA.

(Dokończenie).

Dzieło niemieckie o Wiśle, mając przedewszystkiem cele hydrografji i gospodarki wodnej na oku, poświęca wybitną uwagę nietylko ukształtowaniu powierzchni, budowie geologicznej, a przedewszystkiem właściwości gleby, mniej lub więcej przepuszczalnej, a więc regulującej odpływ wód, poświęca z tych samych przyczyn gruntowne studjum o kulturze ziemi i zalesieniu. Zalesienie nie wpływa na klimat, nie rodzi źródeł, przesądy w tym kierunku już zwalczono, ale niewątpliwie wpływa regulująco na odpływ wód; im więcej lasów, tem mniej powodzi, to pewne! Lasy są na całym obszarze dawnych ziem polskich już znacznie przetrzebione, a zwłaszcza na ziemiach dawnej kultury, więc nad dolną Wisłą, nad Pregołą już ich miejscami nie ma; wszak na Kujawach jest już tylko 7 — 10% lasów. Jeszcze tylko nad górnym i średnim Niemnem, nad górną Narwią, w ziemi podlaskiej, nad średnią Odrą i we wschodnich Karpatach są obszary, których więcej niż jedną trzecią część zajmują lasy. Najsmutniejsze stosunki panują na wschodzie, na

całej Ukrainie i wschod. Podolu z jednej strony, a w Karpatach zachodnich z drugiej strony; tam suchy klimat jest szkodliwy rozwojowi lasów, tu chciwy pług wdarł się w lasy i na jałowe szczyty, ze szkodą dla lasów, bez pożytku dla roli. Przeciętnie zajmuje las w Polsce niespełna $^1/_4$ część, przeto mniej niż w Austro-Węgrzech, mniej niż w Niemczech, nie mówiąc już o tak bogatych krajach jak Rosja lub Skandynawja. Ale też i las lasowi nierówny; nawet te lasy, które mamy są liche, a owe podmokłe lasy na Polesiu, Litwie i Podlasiu, zajmujące tak olbrzymie obszary są w przeważnej mierze tak zniszczone, wyrąbane, co się tylko rąbać dało, że pozostały tylko nikłe chaszcze i krzewy, pozbawione wszelkiej użyteczności. Odnosi się to zwłaszcza do t. zw. lasów liściastych, w których na północnym wschodzie Polski las niskopienny zajmuje 70 — 85% całego obszaru lesistego.

Jeden z najważniejszych ustępów dzieła traktuje o sieci wodnej. Doniosłość tego przedmiotu, z wielką sumiennością i drobiazgowością badanego, okażę na krótkim przykładzie. Kierunek biegu górnej Wisły jest względem kierunku Karpat lekko rozbieżny. Następstwem tego jest, że np. długość Dunajca, równą jest omal dokładnie długości Wisły, aż do ujścia Dunajca, a długość Sanu równą długości Dunajca i Wisły od ujścia Dunajca do ujścia Sanu; Bug jest wprawdzie znacznie krótszy, niż Wisła do ujścia Bugu, ale ma bieg znacznie wolniejszy, a skutek takiego układu sieci wodnej Wisły jest ten, że powódź występuje w całej Wiśle równocześnie, schodzi się ze wszystkich jej arterji, osięga tedy rozmiary olbrzymie i przychodzi z reguły, jako nieszczęście nieprzewidziane. Tem się tłumaczy, że mało co mniejsza od Wisły Odra toczy trzy razy mniejsze masy powodzi, niż Wisła, że w Odrze powódź wędruje do ujścia rzeki 2—3 tygodnie, podczas gdy powódź we Wiśle goni od Krakowa do Warszawy w przeciągu co najwyżej dwu dni, a stamtąd do ujścia też tylko 3—5 dni czasu wymaga. Mimo tych niezwykłych, a dla człowieka niepomyślnych właściwości systemu wód dorzecza Wisły jest możliwe przepowiadanie powodzi w dolinie średniej i dolnej Wisły, a to na podstawie spostrzeżeń meteorologicznych i hydrometrycznych w dorzeczu rzeki Dunajca. W szczegóły trudno tu wchodzić.

Udział Dunajca odgrywa w gospodarce wód wiślanych olbrzymią rolę, a to zarówno podczas posuszy, jak i podczas powodzi. Wody we Wiśle i we wszystkich jej dopływach są najwyższe na wiosnę, a to pod wpływem tajania śniegów, już jednak w maju gwałtownie opadają, a gdyby tak było ze dwa lipce i ze dwa sierpnie, jużby pewno we Wiśle nic wody nie stało. Tylko górskie dopływy zatrzymują nieco dłużej wyższy stan wód, ale zwłaszcza Dunajec ze swym tatrzańskim pobratymcem, Popradem, są jedynym Wisły dopływem, który zimą i latem, który przez rok cały omal równą ilość wody do Wisły wprowadza i w wielkiej mierze przyczynia się do tego, że Wisła w lecie nie wysycha. Chociaż bowiem w lecie największa panuje obfitość deszczów, chociaż nawalne burze, są wówczas najczęstszem zjawiskiem, parowanie wód w pełni lata tak szybko pochłania wilgoć spadłych deszczów, że pomijając nieszczęsną Galicję, która zajmuje obszar źródeł i przyczyn powodzi, są powodzie letnie, owe największe klęski rolnictwa bardzo rzadkiem zjawiskiem w nizinach. W Wiśle dolnej przypada letnia powódź raz na 10, w Niemnie nawet tylko raz na 25 lat, a i wtedy zawsze w skromniejszych rozmiarach. Wielkie powodzie letnie, są jednak o ile Wisły dotyczą, zawsze następstwem katastrofy powodziowej w Karpatach, a przedewszystkiem w Dunajcu, tak np. w ostatniem stuleciu tylko w latach 1813, 1839, 1845 i 1884.

Wisła dolna mniej dotknięta przez powodzie letnie, cierpi za to tem straszniej od powodzi zimowych, a właściwie od powodzi, spowodowanych ruchem lodów. Ponieważ warunkiem tej powodzi jest gruba płyta lodowa i znaczne masy śniegu, a oba te objawy są właściwością krain wschodnich i północnych, przeto najsilniejsze powodzie zimowo-wiosenne, nawiedzają porzęcza Bugu, dolnej Wisły, a zwłaszcza Niemna. Dorzecze Wisły górnej, ma daleko łagodniejszy przebieg ruchu lodów i powodzi, pochodzącej z tajania śniegów. Dla Wisły mogą zajść w szczególności takie okoliczności, które podnoszą powódź wiosenną do rozmiarów pierwszorzędnej katastrofy.

Wspomniałem powyżej, że obszary nadbałtyckie, więc też dorzecze dolnej Wisły ma łagodniejsze zimy, aniżeli dorzecze górne podkarpackie. Mogą wszakże zajść tego rodzaju zakłócenia meteorologiczne, jak np. w marcu 1888, że na pojezierzu panuje jeszcze okres drastycznych mrozów (20° i więcej niżej zera), podczas gdy na podkarpacie przywędrowała już wiosna. Wtedy, a na-

stąpiło to istotnie w marcu 1888, następuje w porzeczach dolnej Wisły katastrofa. Gdy bowiem pod wpływem wiosny w górnej Wiśle lody ruszyły, a za nimi pędziła olbrzymia fala wód śniegowych, Wisła dolna trzymana w uściskach zimy, lodów puścić nie mogła, przyszło do strasznych zatorów i mimo energicznej obrony, przyszło też do przerwy wałow na przestrzeniach milowych, nastąpiła katastrofa, jakiej Żuławy nie pamiętały w całem stuleciu. Wtedy to spiętrzyły się w Malborgu wody Wisły, przeszło 10 m. ponad normalny stan, a szkody poczynione przez tę straszną powódź, oceniono w samych Żuławach na blisko 12 mil. marek.

Niebezpieczeństwo wiosennej powodzi jest jak to już pokrótce na ostatnim przykładzie wyjaśniłem, największe na Żuławach. Niski, a równy poziom Żuław, ponad poziom Żuław wzniesiony poziom wód we Wiśle, skutkiem odwiecznego obwałowania, oto ogólna przyczyna niebezpieczeństwa powodzi.

Druga przyczyna jest już specjalnie Wiśle właściwa. Wisła dzieli się w Żuławach na kilka ramion; z tych najważniejsze są: Leniwka gdańska i Nogat elbląski. Leniwka wpadająca do morza, płynie wolniej, niż Nogat wpadający do Zalewu, a więc do słodkowodnego i spokojnego jeziora. Szybszy pęd Nogatu sprawia, że główna masa lodów i wody powodziowej Wisły tłoczy się do Nogatu. Tam już z powodu nieprawidłowego obwałowania rzeki, piętrzy się woda i grozi wałom, ale katastrofę sprowadza dopiero Zalew, który jako woda stojąca, znacznie później uwalnia się od pokrywy lodowej, a więc nie dopuszcza powodzi naprzód, lecz cofa ją wstecz na żyzne Żuławy.

Jedyna przeto ochrona Żuław przed powodziami, leżała w odwróceniu wód powodzi i lodów od Nogatu do Leniwki. Wieki toczyły się walki i budowle wodne, aż wreszcie w XX. stuleciu ten problemat zostanie rozwiązany. Wszystkie ramiona Wisły zostaną potężnemi groblami od jednolitej jeszcze arterji Wisły odcięte, a nowe wygodne, już przekopane ramię odprowadzi powodzie i lody wprost do morza.

W pracach kulturnych nad okiełzaniem Wisły, które jak wspomniałem, trwały wieki, zapisała się polska ręka i głowa chlubnie, — liczne uchwały sejmowe dowodzą gruntownej znajomości celów i kierunków robót wodnych, a to co wykonano za czasów polskich dla ochrony porzeczy Wisły średniej jest do dnia dzisiejszego jedynym śladem robót wodnych w Polsce, pod zarządem rosyjskim, główną podstawą w Galicji.

Dzieło niemieckie o Wiśle jest pracą pomnikową, którą każdy interesujący się fizjografją ziem polskich, gruntownie poznać winien; bliższą informację i niektóre szczegóły, podałem w obszernem sprawozdaniu, drukowanem w „Kosmosie“ (1902. Zeszyt II.—IV.).

A teraz jeszcze słów kilka o Atlasie Wisły, Niemna i Pregoły. Atlas ten obejmuje 46 kart, wielkiego folio formatu, pod względem rzeczowym doskonałych, pod względem wykonania niezrównanych. Stosunki hypsometryczne, geologiczne, hydrograficzne, rozmieszczenie opadów atmosferycznych, rozmieszczenie lasów są przedstawione na odrębnych kartach, osobno dla Polski (dorzecze Wisły), a osobno dla Litwy (dorzecze Niemna z przylegającemi ziemiami).

Kilkanaście kart, przedstawiających obraz doliny Wisły i Niemna, są nawet pod względem zewnętrznym takiemi arcydziełami, że w laiku muszą wzbudzić co najmniej estetyczne wrażenie. Prócz tego pełno jest w atlasie kartogramów i rysunków, przedstawiających profile doliny Wisły, Niemna i dopływów, profile poprzeczne doliny i łożyska rzek, przebieg powodzi, zmiany biegu rzeki itp.

Jeśli moje sprawozdanie zdoła kogo zainteresować do poznania tego pięknego, gruntownego i pożytecznego dzieła, spełniłbym więcej, niż tym krótkim zarysem osiągnąć zamierzałem.

Prof. Dr. Eugeniusz Romer.

HENRYK KLEIST.

Trzęsienie ziemi w Chili*).

(Z niemieckiego.)

W St. Jago, stolicy królestwa Chili, właśnie w chwili wielkiego trzęsienia ziemi z r. 1647., podczas którego zginęło wiele tysięcy ludzi, stał pewien młody obwiniony o zbrodnię Hiszpan, imieniem Hieronim Rugera, przy słupie w więzieniu, do którego go wtrącono, i chciał się powiesić.

Niespełna rok temu był on nauczycielem w domu don Henryka Asteron, jednego z najbogatszych optymatów w mieście, tam rozkochał w sobie jedyną córkę swego chlebodawcy, donnę Józefę, za co go z posady oddalono. Córkę swą stary don tylko upomniał surowo, dowiedziawszy się jednak przez swego dumnego syna, który w złośliwy sposób czuwał nad moralnością siostry, że zakochani przecież potajemnie dalej się porozumiewają, rozgniewał się i oddał ją do klasztoru Karmelitanek w St. Jago. Tu szczęśliwym trafem udało się Hieronimowi stosunek ponownie nawiązać i pewnej cichej nocy uczynił ogród klasztorny widownią swego zupełnego szczęścia.

Było to w dzień Bożego Ciała, rozpoczynała się już uroczysta procesja zakonnic, za któremi szły nowicjuszki, gdy wtem nieszczęśliwa Józefa na dźwięk dzwonów upadła w bolach porodowych na stopnie, wiodące do katedry. Wypadek ten wywołał nadzwyczajną sensację; młodą grzesznicę wtrącono bez względu na jej stan natychmiast do więzienia, i skoro tylko odbyła połóg, wytoczono jej z rozkazu biskupa jak najbardziej obostrzony proces. W mieście mówiono o tym skandalu z takiem rozgoryczeniem, a klasztor stał się przedmiotem tak nielitościwej krytyki, że ani wstawianie się rodziny Asteronów, ani nawet prośby samej ksieni, która polubiła młodą dzieweczkę za jej nienaganne zresztą zachowanie się, nie mogły złagodzić srogości przepisów prawa klasztornego. Tyle jedynie zdołano wyjednać, że wskutek interwencji wicekróla zamieniono karę śmierci na stosie na śmierć przez ścięcie — ku wielkiemu oburzeniu matron i dziewic miasta St. Jago. Przy ulicach, przez które miał się posuwać pochód ze skazaną, wynajmowano okna, zrywano dachy, a pobożne córy obywateli miasta zaprosiły swoje przyjaciółki, aby w ich siostrzanem towarzystwie być świadkami widowiska Bożej zemsty. Hieronim, którego tymczasem wsadzono do wiezienia, o mało nie oszalał, dowiedziawszy się o tak okropnym obrocie rzeczy. Napróżno myślał o ratunku; wszędzie, gdziekolwiek się tylko wzniósł na skrzydłach najzuchwalszych myśli, natrafiał na rygle i mury, a próba przepiłowania kraty w oknie została odkrytą i spowodowała tylko jeszcze ściślejsze więzienie. Rzucił się na kolana przed obrazem Matki Boskiej, i modlił się do Niej gorąco, jako do jedynego swego portu ocalenia. Lecz straszny ów dzień nadszedł, a z nim razem przeświadczenie o beznadziejności losu. Rozległo się już bicie dzwonów, których dźwięk miał towarzyszyć Józefie na plac stracenia, i zwątpienie ogarnęło jego duszę. Wzgardził życiem i postanowił pozbawić się go zapomocą postronka, który przypadkiem porzucono w jego kazamacie.

I oto, jak już powiedziano, Hieronim stał właśnie u słupa pod ścianą i przytwierdzał postronek do żelaznej klamry, wprawionej w słup, chcąc się już pożegnać z tym padołem płaczu — gdy nagle większa część miasta runęła z takim hukiem, jakby się cały firmament zapadał i pogrzebała wszystko, co żyło, pod swemi gruzami. Hieronim Rugera zdrętwiał z przerażenia; i jakby w zupełnem obezwładnieniu świadomości, nie chcąc upaść, uczepił się teraz tego samego słupa, na którym dopiero co chciał umrzeć. Podłoga zachwiała się pod jego nogami, ściany więzienia pękły, cała budowla zaczęła się pochylać ku

*) Henryk Kleist jest jednym z najwybitniejszych pisarzy niemieckich z początku 19-go wieku. Nowele jego odznaczają się zamiłowaniem do nieozdobnego sposobu opowiadania, w którem Kleist doszedł do mistrzowstwa. W „Trzęsieniu ziemi w Chili" obrał za tło katastrofę elementarną wielkich rozmiarów. To tło nadaje jej obecnie pewną aktualność ze względu na podobną katastrofę na Martynice.

ulicy, a jej zupełne zawalenie się powstrzymała tylko ruina sąsiedniego budynku przez przypadkowe wypuklenie muru. Drżąc, ze zjeżonymi włosami, zaledwie mogąc utrzymać się w kolanach, zsunął się Hieronim po zwisającej w dół podłodze ku otworowi, który wskutek zderzenia się obu domów utworzył się w przedniej ścianie więzienia. Zaledwie wydobył się na wolność, gdy za ponownem drgnieniem ziemi domy już wstrząśnięte zupełnie runęły. Bez opamiętania, nie wiedząc jak się ratować wśród ogólnego zniszczenia, biegł przez gruzy do najbliższej bramy miasta a śmierć robiła nań ze wszystkich stron ustawiczne zamachy. Tu walił się jeszcze jeden dom i druzgocąc wszystko do koła, zmusił go do ucieczki w boczną ulicę; tam wśród kłębów dymu z pod węgłów domu błyskał płomień i odegnał go w inną stronę; tu znowu staczała się nań wyrzucona ze swego koryta rzeka Mapocho, rycząc, porwała go w trzecią ulicę. Tu leżał stos zabitych ludzi, ówdzie pod gruzami jęczał jakiś głos, tu ludzie i zwierzęta walczyli z falami, tam jakiś odważny zbawca zajęty był ratunkiem, tu ktoś inny znowu stał i milcząc wznosił drżące ręce ku niebu. Wreszcie dostał się Hieronim za bramę, a wszedłszy na jeden z pagórków poza miastem, upadł bez zmysłów. Może kwadrans leżał tak w głębokiem omdleniu, wreszcie się zbudził i obrócony tyłem ku miastu do połowy podniósł się na ziemi. Obmacał swe skronie i piersi, nie wiedząc, w jakim stanie się znajduje, ale niewymownie błogie uczucie ogarnęło go, gdy od strony morza powiał nań zachodni orzeźwiający wiatr i powracał mu siły żywotne, a wzrok jego we wszystkich kierunkach bujał swobodnie po żyznej okolicy St. Jago. Tylko na widok wystraszonych tłumów ludzi, które się wszędzie ukazywały, ściskało mu się serce; nie pojmował zrazu, co jego i te tłumy tutaj sprowadzić mogło, i dopiero gdy się odwrócił i ujrzał za sobą zapadnięte miasto, przypomniał sobie straszliwą chwilę, którą właśnie przeżył. Schylił się tak nisko, że czołem dotknął ziemi, aby podziękować Bogu za ocalenie; i wnet — jak gdyby to jedno okropne wrażenie, które wtłoczyło się w jego umysł, wyparło wszystkie poprzednie, — zapłakał z radości, że się jeszcze cieszy lubem życiem pełnem tylu różnorodnych zjawisk.

Wtem, spojrzawszy na pierścień na swoim palcu, przypomniał sobie Józefę; a razem z nią więzienie, dzwony, które słyszał, i tę chwilę, która runięcie więzienia poprzedziła. Głęboki smutek napełnił mu znowu piersi; pożałował swej modlitwy, i straszną wydała mu się istota panująca ponad obłokami. — Wmieszał się między lud, który zajęty wszędzie ratowaniem swego mienia wylegał z bram miasta, i odważył się na trwożliwe zapytanie, co się stało z córką Asterona i czy wyrok na niej wykonano; lecz nikt nie mógł mu dać dokładnych informacji. Jakaś kobieta, z dwoma dzieciątkami u piersi uginająca się prawie aż do ziemi pod ciężarem różnych sprzętów, powiedziała mu mimochodem, że sama była obecną przy scenie ścięcia donny Józefy. Hieronim zawrócił z drogi. Obrachowując czas, sam nie mógł wątpić o spełnieniu wyroku, usiadł więc w samotnym lasku i oddał się zupełnie rozpaczy. Pragnął, żeby niszcząca potęga przyrody znowu się nad nim rozpętała, i nie pojmował, dlaczego w chwilach, kiedy tak upragniona śmierć chętnie ze wszystkich stron dłoń mu podawała, uciekał od niej z paniczną trwogą. Postanowił teraz nie zadrżeć, choćby nawet dęby z korzeniami miały się wyrywać, a ich szczyty na niego się waliły.

Wypłakał się, a wśród gorzkich łez błysnęła mu znowu nadzieja, wstał tedy i przebiegał pola we wszystkich kierunkach. Przeszukał każdy pagórek, na którym się zgromadzili ludzie; spotykał się z nimi na wszystkich drogach, któremi napływały jeszcze tłumy uciekających; gdziekolwiek tylko dojrzał unoszoną wiatrem suknię kobiecą, tam spieszył drżąc cały; lecz żadna z tych sukni nie okrywała ukochanej córki Asterona.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, a z niem razem i jego nadzieja, gdy w końcu swych poszukiwań wstąpił na krawędź skały, skąd roztaczał się widok na dość dużą kotlinę, której nie zwiedził jeszcze. Było na niej kilka grup ludzi. Hieronim biegł od jednej do drugiej, lecz po nadaremnem szukaniu chciał już wrócić, gdy wtem ponad źródłem, zraszającem przepaść, ujrzał jakąś młodą kobietę, zajętą kąpaniem dziecka w nurtach wody. Serce zabiło mu na ten widok; pełen słodkiego przeczucia zbiegł po kamieniach i zawołał: „O Święta Matko Boża!" i poznał Józefę, która posłyszawszy szelest, bojaźliwie się

obejrzała. Z jakże błogą rozkoszą ściskało się tych dwoje nieszczęśliwych, których tylko cud Boży uratował!

Józefa zbliżała się już do miejsca egzekucji, gdy nagłe walenie się budynków połączone z ogromnym hukiem rozbiło cały pochód. Przerażona uciekała zrazu ku najbliższej bramie; lecz opamiętawszy się, pośpieszyła do klasztoru, gdzie pozostał jej mały, pozbawiony pomocy, synek. Klasztor stał już w płomieniach, a ksieni, która jej była przed egzekucją przyobiecała zaopiekować się niemowlęciem, wołała właśnie przed furtą o pomoc dla małego. Nie zważając na kłęby dymu, wpadła Józefa śmiało do walącego się już budynku i wnet, jakby aniołowie niebiescy ją ochraniali, ukazała się z dziecięciem w drzwiach, nie odniósłszy żadnego szwanku. Właśnie chciała się rzucić w objęcia ksieni, która stała, załamawszy ręce nad głową, w tejże chwili jednak odłupał się wierzchołek domu i spadając, zabił ksienię wraz ze wszystkiemi prawie zakonnicami. Józefa przejęta na wskróś grozą, przymknęła tylko oczy ksieni i co prędzej uciekła, unosząc z sobą drogiego chłopczyka, którego jej niebo niejako po raz drugi dało. Uszedłszy nieco dalej ujrzała zmiażdżone ciało biskupa, które właśnie wydobywano z pod gruzów katedry. Pałac wicekróla zapadł się, gmach sądowy, w którym wydano wyrok, stał w płomieniach, a na miejscu gdzie się przedtem znajdował się jej dom rodzicielski, wystąpiło jezioro kipiące czerwonawą parą. Józefa skupiła wszystkie swe siły, aby nie upaść. Nie dając jednak smutkowi przystępu do serca, kroczyła odważnie ze swoim łupem od ulicy do ulicy, lecz kiedy już była blisko bramy, ujrzała także gruzy więzienia, w którem cierpiał Hieronim. Na ten widok zachwiała się już i omal nie zemdlała, gdy tuż poza nią zaczęła się walić jakaś inna budowla, którą wstrząśnienia ziemi zupełnie już zepsuły. Strach dodał jej sił, zerwała się na nogi, ucałowała dziecko, otarła łzy z oczu, i nie bacząc już na rozgrywające się dokoła niej straszne sceny, dobiegła do bramy. Widząc się na wolności, wnet oddała się nadziei, że przecież nie każdy, który zamieszkiwał zgruchotany budynek, musiał zginąć pod jego gruzami, i na najbliższej rozstajnej drodze stanęła cichutko i oczekiwała, czy nie pojawi się jeszcze ktoś, który po małym Filipku był jej najdroższym na świecie. Ale nikt nie nadchodził, a ciżba ludzi rosła, poszła więc dalej, lecz znowu wróciła i czekała; w końcu wciąż roniąc łzy, zawlokła się do tej ciemnej doliny, ocienionej piniami, aby się modlić za jego duszę; i znalazła go tutaj, tego ukochanego, a przy nim szczęście takie, jakby to była dolina Edenu.

To wszystko opowiedziała teraz ze wzruszeniem Hieronimowi, a skończywszy, podała mu chłopczyka do ucałowania. Hieronim wziął go na ręce i pieścił, zaznając poraz pierwszy w życiu niewysłowionych ojcowskich rozkoszy, a ponieważ dziecko na widok obcej twarzy płakało, pocałunkami bez końca zamykał mu usta. Tymczasem zstąpiła na ziemię przepiękna noc, pełna cudownej łagodnej woni, tak księżycowa i cicha, jaką sobie tylko poeta wymarzyć może. Wszędzie wzdłuż strumyka doliny w blasku księżyca rozgościli się ludzie i przygotowywali sobie miękkie posłania z mchu i liści, aby wypocząć po dniu okropnym. A ponieważ nieszczęśliwcy wciąż narzekali: jeden, że dom utracił, inny, że mu zginęła żona i dziecko, inny, że mu nikt i nic nie pozostało — więc Hieronim i Józefa wsunęli się w gęstwinę, aby tajemną uciechą swoich serc nikogo nie rozgoryczać. Znaleźli wspaniałe drzewo granatu, które szeroko rozpościerało swoje gałęzie pełne pachnących owoców; a na jego wierzchołku gwizdał słowik namiętną piosenkę. Tu usiadł Hieronim pod pniem drzewa, Józefa usadowiła się na jego kolanach a Filipek na łonie Józefy: i tak oboje nakryci jego płaszczem, ułożyli się na spoczynek. Cień drzewa przesunął po nich sieć swoich rozproszonych światełek, a księżyc zbladł już przed blaskiem nadchodzącej jutrzenki, zanim zasnęli. Bo też nieskończenie wiele mieli sobie do opowiedzenia: o ogrodzie klasztornym i o więzieniach, i o tem, co jedno z powodu drugiego wycierpiało; a głębokie wzruszenie ogarniało ich na myśl o tem, jaka katastrofa musiała świat nawiedzić, aby ich szczęśliwymi uczynić! Postanowili, że skoro tylko wstrząśnienia ziemi ustaną, udadzą się do La Conception, gdzie Józefa weźmie od swej przyjaciółki zasiłek pieniężny, potem wsiądą na okręt do Hiszpanji, gdzie mieszkali krewni Hieronima ze strony matki, i tam będą prowadzili szczęśliwe życie. Wreszcie po wielu pocałunkach zasnęli.

(Dok. nast.)

Wszechideał.

Odkąd kierunek empiryczny zdobył sobie dominujące znaczenie w nowoczesnej filozofji, dyskredytując i rugując już samem swem istnieniem rozmaite nieproduktywne, na chimerycznych założeniach oparte dociekania metafizyczne, odkąd zaczęto na serjo badać rzeczywistość — wiele zadań i usiłowań o charakterze spekulatywnym zredukowało się do pewnych, jasno określonych zagadnień psychologicznych. Im więcej filozofja traciła ze swych cech metafizycznych, tem bardziej zmniejszała się ilość jej problematów i zwężała sfera jej wpływu. Ryszard Avenarius, twórca empirjokrytycyzmu sprowadza zadanie filozofji, jako odrębnej nauki, do wynalezienia najogólniejszego pojęcia o świecie, czyli światopoglądu, w którym byłyby zawarte wszystkie fakty rzeczywistości. Wszelkie inne problematy należą do dziedzin specjalnych, mianowicie: psychologji, fizyki, psychofizyki i fizyologji.

Psychologja dotychczasowa ograniczała się przeważnie na badaniach z zakresu psychofizyki; fakty zaś z dziedziny właściwej psychologji, wszelkie bardziej skomplikowane uczucia, zagadnienia etyczne, estetyczne i t. d. pozostały zupełnie niewyświetlone.

Brak naukowych orjentacyj o najważniejszych faktach psychologicznych dał się na wszystkich polach działalności ludzkiej bardzo dotkliwie uczuć. Gdzie nie ma systematycznej naukowej analizy — tam panuje aforyzm, czyli jednostronna obserwacja i fałszywe uogólnienie.

Ta niesystematyczność w obserwowaniu rzeczywistości musiała z natury rzeczy wywołać bardzo sprzeczne pojęcia o różnych faktach życia. Intensywnie odczuta sprzeczność jakichś faktów wytwarza potrzebę usunięcia jej.

Jednym ze sposobów usunięcia jej jest poznanie prawdziwego związku rzeczy przez dokładny opis rzeczywistości.

Najbardziej skomplikowane ludzkie uczucia, tj. te, które stanowią treść stosunku ludzkiej jednostki do innych jednostek i do siebie samej — więc uczucia socjalne nie były aż do niedawna nigdy przedmiotem naukowej analizy.

Po raz pierwszy podjął się naukowego zbadania najważniejszej treści psychologicznej Rudolf Holzapfel*) w swem dziele: „Panideal: Psychologie der socialen Gefühle", które wyszło niedawno z druku, poprzedzone wstępem wielkiego fizyka i filozofa Ernesta Macha.

Pojęcie najdoskonalszego wszechideału jest punktem kulminacyjnym i ostateczną konsekwencją wszystkich orjentacyj**) i analiz, przeprowadzonych w poszczególnych częściach dzieła. Części te oznaczone są tytułami: samotność, tęsknota, nadzieja, modlitwa, walka, sumienie, sztuka, światy, ideał.

Najistotniejsza część dzieła jest odpowiedzią na pytanie: jaki wszechstronny ideał czyli wszech

*) Rudolf Holzapfel jest rodem z Krakowa, gdzie też uczęszczał do gimnazjum. W 17-tym roku życia wyjechał do Afryki południowej. Po kilkuletnim pobycie w Kapstadzie, wrócił do Europy i wstąpił na wydział filozoficzny w Zurychu. Wówczas żył jeszcze i wykładał na uniwersytecie zurychskim Ryszard Avenarius, którego połączyła z Holzapflem wnet serdeczna przyjaźń. Po śmierci Avenarius'a, Holzapfel niedługo zabawił w Szwajcarji. W latach następnych przebywał w Londynie, w Krakowie, w Zurychu, a wreszcie w Rosji, gdzie wykończył swe dzieło: „Panideal". Dzieło to jest poświęcone pamięci Ryszarda Avenariusa, którego Holzapfel w zakończeniu stawia obok Ernesta Macha, nazywając obu wielkimi swymi mistrzami. Co filozofowie ci osiągnęli w dziedzinie poznania, to on usiłuje odnaleźć w dziedzinie „ideału". Chcąc dojść do wszech-ideału, którego zrealizowanie zadawalniałoby najbardziej skomplikowane potrzeby duchowe, musiał on zbadać najważniejsze kierunki duchowego rozwoju, mianowicie rozwój etyczny i estetyczny. Stosując do tych badań metodę przyrodniczo-opisową i kreśląc rozmaite sposoby zachowania się etycznego, znalazł Holzapfel warunki zbliżania się do doskonałości etycznej i estetycznej, a zatem jaknajdoskonalszy wszechideał.

**) Aby zrozumieć ten wyraz w znaczeniu Holzapfla należy wiedzieć jak określa on w przedmowie swój stosunek do czytelnika: Oto jego słowa: „Ich predige nicht, ich suche nicht zu uberreden, ich will diejenigen orientiren, die ich orientiren vermag".

ideał zbliża się możliwie najbardziej do doskonałości, czyli jaki wszechideał mógłby jednostkę o największym możliwym rozwoju zadowolnić w zupełności pod względem etycznym, estetycznym i hygiopsychicznym?*)

Już tak sformułowane pytanie jest wynikiem, poprzednich orjentacyj, które rozświetlając coraz bardziej badany teren i zbliżając rozwiązanie kwestji, objaśniają zarazem formę i treść samego pytania.

Holzapfel posługuje się metodą deskryptywną i opisuje rzeczywistość. Faktów rzeczywistości nie utożsamia on jednak z faktami zdarzonymi i przez pewną ilość ludzi spostrzeżonymi — lecz rozszerza zakres rzeczywistości na wszystkie fakty, które nie są sprzeczne z zasadniczemi ogólnemi cechami wszystkiego, co istnieje. Opisuje on więc nietylko to, co dziś już jest doświadczeniem (w przeciętnem znaczeniu tego słowa) — ale i fakty, które mają wszelkie cechy rzeczywistości, jakkolwiek może nigdy się nie zdarzyły i w przyszłości się nie zdarzą. Takie wyimaginowane doświadczenia składają się w znacznej mierze na treść: „wszechideału“ i są koniecznym warunkiem najważniejszych rezultatów dzieła. „Samotność“, „tęsknota“, „nadzieja“, „modlitwa“ i „walka“ przygotowują i nastrajają jakoby do głębszego wniknięcia w treść „sumienia“, „sztuki“, „światów“ i „ideału“.

Ponieważ „Wszechideał“ w założeniu swem ma na celu deskryptywne orjentowanie o wspomnianych uczuciach socjalnych, więc metoda przedstawiania nie może być inną, jak tylko naukową. Holzapfel rozpoczyna też analizę każdej dziedziny uczuć od jej definicji. Wszyscy wypowiadający wyrazy: samotność, tęsknota, nadzieja i t. d. mają na myśli pewien kompleks wyobrażeń. Wszystkie wyobrażenia tego rodzaju mają u wszystkich ludzi pewne stałe wspólne cechy. Chodzi więc o opisanie tych stałych, zasadniczych cech. Holzapfel podaje je w definicji uczuć.

Określiwszy najogólniejsze pojęcie pewnego uczucia, schodzi on stopniowo do uogólnień, obejmujących coraz szczuplejszy zakres faktów. Czem bardziej badacz oddala się od najogólniejszego pojęcia i zbliża się do pojęć częściowych, tem mniej może się on opierać na przeciętnych, ogólnie znanych doświadczeniach, tem częściej musi się posługiwać doświadczeniami rzadkiemi i niezwykłemi. Nie zawsze jednak wystarczają doświadczenia już poczynione; cel badania, potrzeba rozszerzenia zakresu możliwych faktów, wymaga częstokroć przewidywania zupełnie nowych, jedynie tylko według analogji skonstruowanych doświadczeń. Konstrukcje takie odpowiadają rzeczywistości, jeśli zgadzają się z zasadniczemi cechami już zbadanych doświadczeń.

Wszelkie więc świadome, produktywne, zgodne z rzeczywistością rozszerzanie granic świata za pomocą wyobrażeń jest uwarunkowane znajomością ścisłych orjentacyj. W analizie uczuć: samotności, tęsknoty, nadzieji nie zadowalnia się Holzapfel tylko ich definicją i opisaniem głównych przejawów, lecz śledzi cały ich przebieg, notując związek i zależność stanów uczuciowych od najrozmaitszych warunków. T. n. badając tęsknotę, rozróżnia on różne jej formy i odcienie, zależne od rozwoju, chwilowego przygotowania tęskniącej osoby, od przedmiotu tęsknoty lub warunków, wśród których tęsknota się przejawia. Ponieważ można sobie wyobrazić niezliczoną ilość odmian w przygotowaniu i rozwoju osoby tęskniącej, rozmaite przedmioty i t. d. — więc ekonomja możliwie wielkiej ilości faktów w systematycznie ugrupowane uogólnienia.

Na uogólnieniach danych w „Wszechideale“ nie zamyka Holzapfel analizy uczuć samotności, tęsknoty, walki, modlitwy, gdyż możliwe są rozmaite modyfikacje tych uczuć, zależnie od stanowisk, z których się je bada.

Już w tych wstępnych analizach zaznacza się pogląd autora na rozwój. Opisuje on różne rodzaje rozwoju w ten sposób, iż przedstawia kombinacje pojęć, wpływ, jakie na nie wywierają stany uczuciowe i na odwrót — wogóle szeregi po sobie następujących zmian psychicznych. Tak więc tesame przejścia i zmiany mogą dla jednego indywiduum stanowić rozwój, czyli kryterjum rozwoju, dla innego zaś degenerację, czyli kryterjum degeneracji.*)

*) Rozwój hygiopsychiczny — to taka kombinacja sił fizycznych i psychicznych, w której rozwój fizyczny jest uwzględniony tylko jako niezbędny warunek jaknajdoskonalszego psychicznego rozwoju.

*) Miarę lub kryterjum jakiegoś rozwoju, stanowi sam rozwój. Rozwój — to tylko ogólne pojęcie, obejmujące szeregi zmian. Wyrażając się o pewnej jednostce, iż jest ona w tym lub owym kierunku mniej lub więcej rozwiniętą — pragniemy zaznaczyć, że istnieją w niej (używając popularnego zwrotu) pewnego rodzaju myśli, uczucia, stany i t. d. Co Holzapfel uważa za rozwój, okazuje się z całości dzieła.

Charakterystyczną cechą wstępnych analiz jest uwzględnianie biologicznej wartości uczuć. Na końcu każdej analizy wykazuje Holzapfel, że biologiczna wartość stanów uczuciowych jest wypadkową wielu warunków, odnośnie do konkretnego faktu mniej lub więcej skomplikowanych i mniej lub więcej widocznych.

I tak demonstruje on na niektórych, jak można świadomie wpłynąć na rozwój psychiczny jednostki przy pomocy orjentacyj, zdobytych naukową analizą uczuć socjalnych. Najważniejszą część „wszechideału“ stanowią analizy pt.: „sumienie“ i „sztuka“.

(D. n.)

13)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Zima pełna „buranów“, zawieji śnieżnych, gorzko odbijała się na życiu koczowników. P. Witort pisząc o Kirgizach (ze stepów Azji środkowej — miesięcznik Lud. tom I. str. 3) tak powiada o zimie, tej „ciężkiej porze roku“: „Niedawno rzeźki i ruchliwy koczownik zakopuje się w kystawie, bez dachu i okien, strawa jego jest nędzna i sprowadza się do resztek małych koniny lub baraniny, stosunki ze światem zewnętrznym przerywają się na kilka miesięcy, lub są tak trudne, że pomimo nudy i tęsknoty, towarzyski kirgiz nie odważa się opuszczać aułu, z obawy wilków i buranów.

Jeszcze gorszem jest położenie stad... jednej ciężkiej zimy „jednej gołoledzi wystarcza, by tysiące zamożnych Kirgizów doszło do kija żebraczego, by zaczęła grasować olbrzymia śmiertelność, by ludzie umierali wprost z głodu, jak to się działo w r. 1882 i 1883, kiedy z powodu dżutu (gołoledzi uniemożliwiającej bydłu wydobywania sobie paszy z pod śniegu) padło blisko $^3/_4$ ogółu stad kirgizkich“. Podobna śmierć musiała być też częstym gościem zimowym u Arjów w czasach stepowego życia. — To co w Indjach jest (sanskryt) *moros* deszcz mały, chłodną rosą poranną (sanskr.) *merszati*, polewać wodę, przemienia się na stepie na „*mróz*“ — *moros* (litew.) *merga*.

Mrzyty, marznąć — łączy się dalej z pojęciem niedostatku i głodu. (Star. Słow.) *Mrszaw* chudy — (ukraiń) *mersza merszati* chudnąć. Człowiek *marznie* i *mrszewieje* to jest chudnie z głodu i z zimna wreszcie *umiera*. *Umrzeć* — (starosłow.) *mriti* — (serb.) *mrem* — (sanskryt.) *mar. marati* — łaciń.) *mors* — (franc.) *mourir* — (armeń.) *meranil* — (kurdyjskie) *myr-gu* — (litew.) *myrty, miorte, mariati* zabijać — (greckie) *moros* — (pol.) *mór, mara.* — Śmierć to (sanskryt.) *mrta mrtas* — (grec.) (*m*)*brotos* — (niem.) *Mord* — (łać.) *mors*. Mimochodem zwracam uwagę na znaczące w polskim języku pokrewieństwo wyrazów *śmierć* i *smród* — *smert, smrid* (ukraiń.) Potrzeba ciepłego i szczelnego ubioru w zimie stepowej, odbiła się na późniejszem powszechnem uczuciu u Europejczyka, na „wstydzie“ nagiego ciała. (Zwłaszcza, że stepowiec stale się ani nie myje ani nie kąpie, a więc się bardzo rzadko rozbiera. Ludy natomiast długo nad wodą mieszkające zatracają w czasie ciepłego lata ten „wstyd“ a nabierają zamiłowania do czystości i do kąpieli.) Według poglądu prof. Büchnera „stygnąć“ i „stuża“ zimno przeszło we wstyd. (niem.) *Scham* wstyd — (pol.) *zima*. Poczucie zimna *mraz* — (serb.) *mrzyty* — (pol.) *mierzic, obmierzić* sobie coś — (lit.) *smarsas* zaprawa jedzeniowa — (gotyckie) *smairhr* gnój, pomiot koński, (pol.) *smród, śmierdzić.* Ten *smairhr* gnój koński lub barani jest podstawą ludzkiego istnienia w zimie na stepie. Bez „*gija*“ (gij to ususzony i ubity pomiot) Kirgiz nie mając czem opalać swojej jurty

zmarzłby na stepie na śmierć. Pan Jan Szczepkowski (Pieszo z Odesy do Warszawy“ Gazeta sportowa październik 1901) stwierdzając na Besarabji zachowane do dziś obyczaje gospodarcze stepowców u tamtejszych chłopów, tak się wyraża: Koloniści (chłopi małoruscy) młócą zboże, dając je deptać koniom zaprzężonym do kamiennych wałków, chaty zaś opalają nawozem suszonym na słońcu“.

Widzimy więc z tego, jak wysoce podobna zależność materjalna od otoczenia wywołuje długo jeszcze podobne objawy i na stepie kirgizkim w Azji i w Europejskiej Bessarabji wśród Rusinów. Tak więc jest wszelkie prawdopodobieństwo, że z gotyckim „smairthrem“, gnojem, pomiotem, wiąże się zapewne stary polski wyraz, dziś zaginiony, oznaczający widocznie niegdyś najniższy może niewolny stan smardów to jest ubijaczy pomiotu na opał w odróżnieniu od samodzielnego hodowcy stad „kmeta“ i kierownika tabunów końskich, jezdnego „konezia“.

Zawodem smardy było naprawdę mniej wonne zajęcie zbierania, suszenia i ubijania w „gij“ gnoju na ogień. Wyraz „smarda“ zaginąwszy dawno w swej głównej postaci, zachował się jedynie w powyższem znaczeniu w ustach matek, chcących zganić mniej czysto załatwiające się dzieciaki. („Ty smerdo jedna“). Tak nie dziwo że z zimą straszną, śmierć i złe przynoszącą, a latem świetlistem ciepłem i rozkosznem łączy się jedna z najdawniejszych filozofji religijnych Aryów Zendawesta. Przepaść między latem a zimą i walki w porach przejściowych wiosny i jesieni, to wieczny bój między bogiem ciepła i światłości słonecznej, a bogiem zimna, zła i ciemności, z ktorej kiedyś Ahuramuzda władca krainy ciepła i światłości Iranu, wyjdzie zwycięzcą nad królem zimna i ciemności Ahrimanem, rządcą Turanu.

Przejdziemy obecnie do nowej grupy wyrazów, których ułożenie pozwoli nam zauważyć powolne przejścia od życia czysto koczowniczego do rolniczego, o jakiem u Słowian mówi Herodoł Halikarnaski Lib. IV. Cap. 17. To nad Halizomani mieszkają, Skytowie rolnicy którzy sadzą pszenicę nie na to, aby ją jeść, ale na przedaż. — Ponieważ Herodot pisał o tych „Skotarzach“ (od Skot bydło?) w V wieku przed Chrystusem, przeto mamy niejakie oparcie co do czasu kiedy się stawać to przekształcenie mogło.

Źródłem materjalnem niniejszej gałęzi słów klanu namiotowego jest „szyta ścięgnami skóra zwierzęca“ używana jako pokrycie namiotu albo w uwłosionym stanie jako kożuch

(Star. Słow.) *Stigno* — (polskie) *ścięgno ścieg* — (niem. *Schinken, Schenkel* (mięśnie udowe) — (angiel.) *Shank*. Zszywanie *ścięgnami, ściąganie skóry“* — *stebat* — (ukrain.) *postubatsia* — (niem.) *steppen* (porównaj step) — (pol.) *stebnować* — (czeskie) *stegat* — (niem.) *Stich* (im Nähen) — (pol.) *ścieg* — (star.-sakson.) *stekan*. — Pochodny obraz optyczny *ścieżka ścieżaj* (drzwi na *ścieżaj* otwarte, i przestrzeń *„stebnowana“* śladami wędrówek *step*). — Kłócie, przekłówanie igłą oznacza (niem.) *stechen*, kłóć — (łaciń.) *stingere* — (greck.) *stigain* kłóć — obrazem narzędzia do przekłówania „szydła“ jest (grec.) *stylos*, zaostrzona pałeczka do pisania. — To, co *„stylosem“* *„wystebnowano“* zeszyto, a potem *rozścielono* na szkielecie namiotu, jest *„(s)tło“* (*od stłat*). *Tło*, skóra, wygląd zewnętrzny odrywa się już w pojęcia *„tiło“* *ciało*. Pełen zaś *„ciała“* *tła* to *tłusty (cielsty)*.

Z obrazem i dzwiękiem *„stłat“* ścielę, *słac, pościel* wiążą się *„stłat“* *stelio* — (starosłow.) *stela-stol* — (czeskie) *steliwo*, plewa sieczka *(podściółka)* — (prusk.) *stalis* — (ukrain.-huculskie) *postoły* — obówie skórzane, (podstopę podścielone).

Rozpinanie *tła* skórzanego na szkielecie namiotowym, odzwierciedla się w szeregu wyrazów określających przestrzenne utwory.

Stelio — (pruskie) *stalis* — (litew.) *stelas, pastolas*. To układ, szkielet, sztelarz (niem.) *gestell* — skąd (łać.) (st)*lata* i (st)*locus* miejsce przebywania.

(C. d. n.) *Kazimierz Mokłowski.*

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

Witold wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć. Nie było wcale rzeczą trudną, przeniknąć tę najpospolitszą z natur, więc odparł spokojnie:

— Ja tymczasem przewróciłem cały domowy ład w moich Złotnikach. Konie wyścigowe sprzedałem, kuchmistrza odprawiłem, kawalerskich zebrań nie daję.

Ignaś zerwał się z miejsca i spoglądał ze zdumieniem na Witolda, który wytrzymał to spojrzenie bez zmiany wyrazu.

— Aa! rozumiem — wycedził po chwili. — Żenisz się z moją siostrą, przyjechałeś mi o tem powiedzieć. No, no, powinienem się był tego domyśleć. Winszuję...

A ponieważ był zły, że się z tylu rzeczy wygadał, dodał półgłosem:

— Ale nie zazdroszczę.

— Niestety! nie masz czego winszować. Gdybym miał szczęście być narzeczonym panny Marji, byłbym ci o tem powiedział od razu. Ale pomimo to, interesuję się tobą, jak bratem.

Ignaś uśmiechnął się niedowierzająco.

— Widzę — mówił Witold, nie zważając — że matka i siostry cierpią na twojem oddaleniu, że się niepokoją, chciałyby wiedzieć coś więcej, niż to, co zawierają twoje listy, a nadewszystko, jakie są twoje zamiary na przyszłość.

— Moje zamiary! Alboż mnie kto o nie zapytał? Myślałem, że mam jakieś prawa, matka odjęła mi to złudzenie. Ale skoro się pytasz, przyznaję, że jestem prześladowany tą włóczęgą po obcych kątach, nie wiedzieć po co i na co, a w dodatku o biedzie.

Dźwięczała w tych słowach wielka gorycz.

Witold milczał przez chwilę, bo ostatecznie nie wymagały one odpowiedzi. Po namyśle jednak wyrzekł:

— Napisz matce otwarcie, czego pragniesz, a ja będę się starał, o ile w mojej mocy, skłonić ją do tego. Zresztą nie będzie to trudne. Wiesz przecież, jak cię kocha.

Ignaś skrzywił się, w sposób świadczący, że dowodów tej miłości nie widzi i że jej wprost nie dowierza.

— Moja matka kocha tylko swoje mrzonki, a ty jej wcale nie znasz: co raz powie, tego nie zmieni. No, ale gdybyś się tego podjął, wołałbym ci powierzyć rokowania między nami, bo widzę z wszystkiego, że jesteś w Malińcach mężem zaufania.

Podkreślił ten wyraz szyderczo.

— Uczynię, co tylko będę mógł — odparł Witold.

— Widzisz, u nas na Litwie dzieje się zwykle tak; kiedy syn, a zwłaszcza jedynak, skończy nauki, a ojciec nie żyje, obejmuje zarząd majątku. Kobiety zaś: matka, siostry żyją z renty, jaką im głowa domu wypłaca, na wsi lub w mieście, stosownie do układu.

— A jeżeli głowa domu źle się rządzi i traci — wtrącił Witold.

— Dlaczego miałaby tracić — oburzył się Ignaś — zawsze mężczyzna zna się na tem lepiej od kobiety.

— To zależy. Uważam, że Malińce znajdują się w kwitnącym stanie.

— Rzucono tam na ciebie urok, to widoczne, Ale wróćmy do rzeczy. Ja miałem prawo sądzić, że moja matka zastosuje się do powszechnego zwyczaju, kształciłem się na agronoma, gdyż miałem rządzić Malińcami. Tymczasem moja matka ma na nich dożywocie i nic z praw swoich odstąpić nie chce. Oświadczyła mi to kategorycznie. Ona ma przecież Berwicza.

— Sądzę, że o ustąpieniu ci majątku nie może być mowy, ale powiedz mi swoje żądania.

— Żądania. Jakież żądania stawić mogę? Wypływa to z mego położenia. Jestem przecież na łasce, powiedziano mi to wyraźnie.

— A ty ją przyjąłeś — wtrącił Witold z naciskiem.

— To dobre! Przyjąć musiałem. Miałem może szukać sobie zarobku?

— Jabym tak postąpił.

— Łatwo ci to mówić, bo nie jesteś w podobnem położeniu. Ja pragnąłbym niezależności.

— Niezależnym jest człowiek wówczas tylko, gdy sam sobie wystarcza.

Próbował obudzić w nim ambicję, ufność we własne siły. Ale napróżno. Ignaś tego nie zauważył, czy zrozumieć nie chciał i mówił dalej:

— Nie chcę podlegać nikomu, ani Berwiczowi, ani nawet matce i Maryni, ani też przyjmować żadnych obowiązków, jakie narzucają mi gwałtem. Ja pragnę żyć bez troski, tak, jak mi się podoba. Niech mi raz dadzą spokój z misjami społecznemi. Nie jestem do nich stworzony. Nie myślę ani zakładać bakalarni, ani ogniska opozycji, ani nic podobnego. Chociażby wszystkie manifestacje warszawskie były podłością i głupstwem, jak utrzymujecie, to nie zmieni faktów, ja nie zmienię ich także, muszę przyjąć prawa, pod jakiemi żyję i poddać im się, rad nie rad. Cóż chcesz, nie czuję w sobie powołania na męczennika. Mój dziad i mój ojciec poświęcili się dla kraju. To nie racja, żebym i ja to uczynił. Wiem, że rodzina nie daruje mi tego, ty pewnie także weźmiesz mi to za złe, ale już ja takim jestem i takim zostanę.

Mówił to ze złośliwą zaciętością i czekał, co mu Witold odpowie, a widząc, że milczy, zaczął znowu.

— Może to nie dyplomatycznie, że ci się z tego spowiadam. Ale trudno, muszę raz być otwartym, aby uniknąć w przyszłości nieporozumień i scen, których nie cierpię. Lubię przedewszystkiem wygodę, spokój, przyjemności, jakie daje dostatek. A matka i siostry są tak egzaltowane.

— Powiedziałeś mi twoje żądania — przerwał Witold — i będę się starał nakłonić do nich panią Marską. Ale wierz mi, nie nazywaj egzaltacją uczuć, których nie rozumiesz, ani obowiązków, których nie masz odwagi spełniać.

— Ah! obowiązki i obowiązki, wiecznie powtarzacie to samo. Ja ich nie uznaję. Przez czas pobytu w Belgji i w Szwajcarji widziałem wszędzie ludzi żyjących wesoło, spokojnie, stosownie do swego mienia.

— Wiesz przecież, że my jesteśmy w wyjątkowem położeniu.

— Ah! Boże! To samo widziałem w kraju, u krewnych i znajomych. Pamiętam, że dzieckiem jeszcze będąc pytałem, dlaczego u nas jest inaczej, niż wszędzie, dlaczego przy wielkim majątku żyjemy prawie, jak biedacy? Odpowiadano mi, że to obowiązek. Dzieckiem mogłem się tem zadowalniać, ale dziś? Dziś uważam za rzecz niesłuszną, by on ciążył na nas tylko.

— Daruj. To jest rzeczą indywidualną. Granicę obowiązku stanowi szerokość widnokręgów i uczuć. Stosuje się on do miary dusz. Wedle nich olbrzymieje lub karłowacieje. Czy wiesz, ile dobrodziejstw rozsiewa w koło twoja matka? Ile rodzin dzięki jej pomocy utrzymało się w swoich siedzibach? Ilu wykształciła ludzi pożytecznych dla kraju? Rozlewa ona wkoło światło, zdrowie, spokój, pociechę.

— Wiem, wiem. Moja matka zabiega, pracuje, oszczędza za tych, którzy tego nie czynią, dla nich to odmawia sobie i dzieciom. Mówiłem ci już, że ten rodzaj socjalizmu trafiałby mi może do przekonania, gdybym nic nie miał, ale tak...

— Wiesz dobrze, w imię czego to czyni.

— Ah! w domu nazywają to puścizną Brzeszcza. Ja się tej puścizny wyrzekam. Niech każdy myśli o własnem szczęściu, a wszyscy będą szczęśliwi.

— Jestto wygodna dewiza samolubów.

— Niech i tak będzie. Ale gdyby każdy oszczędzał i zabiegał, jak matka, to obowiązki nie spadałyby całym ciężarem na nasze barki.

— Twoja matka jest aniołem opiekuńczym okolicy. Dom wasz słynie z dobrodziejstw.

— Powiedz raczej z marnotrawstwa. I tu nawet w Genewie nie ja jeden żyję z Maliniec. I dlatego właśnie żyję tak licho.

Mówił długo w ten sposób, rozwodząc swoje żale. Witold słuchał go ze spokojną uwagą, jak to zwykł był czynić. Ale w miarę jak ta marna dusza odsłaniała się przed nim, odczuwał głębiej nieszczęście tych, co z nią byli związani.

— Coż ty na to? — spytał Ignaś, nie odbierając odpowiedzi.

— Masz słuszność — wyrzekł powoli. — Nie dorosłeś do puścizny Brzeszcza.

— Co przez to rozumiesz? — wyrzekł trochę zmieszany Ignaś.

— Tylko to, coś sam powiedział. Wszak się tej puścizny wyrzekasz.

— Ty bo patrzysz teraz na wszystko Maryni oczyma.

Witold podniósł na niego wzrok rozjaśniony.

— Prawda i wiedz, że się tem szczycę.

Ignaś przygryzł wargi.

— Widzę — rzekł — iż nie będę miał w tobie obrońcy.

— Obrońcy nie potrzebujesz. Sądzę, że interesem wszystkich zarówno jest żądaniom twoim zadość uczynić.

— Mama powinnaby mi dać Borowiec albo Smugi.

Były to najlepsze wsie z klucza malinieckiego.

— Powiem to pani Marskiej.

— W Borowcu pyszne polowanie, a w Smugach dwór przyzwoity — tłumaczył się Ignaś.

Witold zabawił parę dni w Genewie. Odwiedził Ignasia w pensjonacie, w którym mieszkał i zauważył, iż córka właścicielki, panna Jenny, otaczała go szczególną troskliwością i zdawała się myśli jego zgadywać. Jak wiele jej podobnych, panna Jenny upatrywała sobie męża pomiędzy ludźmi, mieszkającymi u matki, a że miała lat dwadzieścia, świeżą buzię i żywe czarne oczy, serce Ignasia zaś było jak wosk miękkie, topniało ono łatwo przy ogniu spojrzeń młodej dziewczyny. Zapewne ani się mu śniło spełnić marzenia panny Jenny, ale wytłumaczyło to Witoldowi długi jego pobyt w Genewie. A ostatecznie z takim, jak on człowiekiem, nie można było nigdy ręczyć za nic.

W każdym innym kraju taki syn byłby tylko klęską rodzinną, ale na Litwie fakt ten nabierał doniosłości społecznej. W kraju, który musi stać twardo przy swojej narodowości, niema miejsca dla podobnych ludzi. I powtórzył sobie w myśli pytanie, które Schiller kładzie w usta Don Karlosa: „Dlaczego wpośród tylu los dał mu za ojca Filipa“, a temu zwyrodniałemu synowi wielkich ojców za matkę panią Teresę?

Ironja losu dalej posuniętą być nie mogła.

XI.

— Według mego zdania należy Ignasia sprowadzić, dać mu osobną siedzibę i ożenić jak najprędzej.

Temi słowami streścił Witold rezultat misji, której się podjął.

Ożenić Ignasia — ta myśl nasuwała się nieraz pani Teresie, ale rzecz przedstawiała wielkie trudności. Dawniej, kiedy miała świetne złudzenia co do syna, marzyła o żonie odpowiedniej tym złudzeniom, upatrywała jej w znajomych domach, ale nigdy nie spotkała dziewczęcia, któremu powierzyłaby bez trwogi przyszłość jedynaka i przechowanie tradycji rodu. Szukała kobiety, mającej wszystkie przymioty, umiejącej kochać całem sercem, a gotowej zawsze do ofiary.

Dzisiaj, choć nie marzyła już o ofierze, żądała stokroć więcej. Ignasiowi trzeba było żony, zdolnej opanować ster jego życiowej łodzi i ustrzedz go od ostatecznego rozbicia. A czuła, jak trudne było to zadanie i drżała przed myślą narzucenia go komukolwiek.

Zrozumiała też dobrze ostatnie słowa Witolda, który nie cierpiał słów próżnych: „ożenić Ignasia jaknajprędzej“, bo cóżby było, gdyby on sam się ożenił?

Niestety! majątek i nazwisko czyniły z niego pożądaną partję. Łatwo było przewidzieć, że zewsząd zastawione będą na niego sieci, a w takich razach zwycięstwo otrzymuje zawsze najprzebieglejsza. Przed tą przebiegłą z góry już truchlała pani Teresa.

Napisała do syna, aby wracał, że stosownie do jego życzeń obmyśli mu odpowiednią siedzibę. Więcej napisać nie śmiała, czuła się Ignasiowi obcą, szukała słów, któreby go nie uraziły, a nie budziły fałszywych nadziei. Tymczasem myślała dnie i noce o tej żonie, którą chciała wynaleźć dla niego i nad nowemi trudnościami życia, z któremi nie spotykała się nigdy.

Ale kiedy Ignaś powrócił, zrozumiała, że im nie podoła.

Łatwo powiedzieć: trzeba syna ożenić. Uczynić to było niepodobna z usposobieniem pani Teresy.

Powrócił on nierad z siebie i innych. Przy wyjeździe panna Jenny robiła mu sceny, groziła, że się struje, musiał ją uspokoić obietnicą powrotu i drżał, by go nie ścigała.

Wiosna opóźniła się tego roku, a Malińce, zakopane w śniegu i błocie, nie przedstawiały dla Ignasia żadnej rozrywki; z rodziną był na stopie etykietalnej, bardzo podobnej do zbrojnego pokoju. W sprawach gospodarskich ostentacyjnie żadnego udziału brać nie chciał, żadnego sąsiada nie odwiedził, mówiąc, że zaczeka, aż będzie miał dom własny. A tymczasem słoty i zimna opóźniały wybór siedziby dla niego. Pani Teresa naradzała się z Berwiczem, który miał już coś upatrzonego, ale jeszcze powiedzieć tego nie chciał.

Pani Teresa wstawała teraz często przed świtem, bo sen ją odbiegał. Zapalała sobie lampę

i siadała przed biurkiem. Miała zawsze wiele zajęcia i szukała w pracy ucieczki przed troskami, ale najczęściej myśl, nieposłuszna woli, odbiegała do Ignasia i dręczyła ją niepewnością jutra.

Kiedy Berwicz widział rano światło w jej oknie, łamał ręce i wygrażał w duchu temu, co był sprawcą jej niepokoju, a skoro tylko zrobił się dzień, przychodził pod jakimbądź pozorem, by przerwać jej smutne myśli. (C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Idea w sztuce.* Skreślił Maurycy Mutermilch. Nakład M. Arcta. Wydawnictwo „Książki dla wszystkich“. Zwięźle, jasno, w sposób prawdziwie popularny omawia autor znaczenie idei w sztuce. Sztuka rodzi się z uczucia i działa przedewszystkiem wrażeniowo. Podobnie jednak, jak w duszy ludzkiej myśl organicznie wiąże się z uczuciem, tak i w dziele sztuki pierwiastek emocjonalny zespala się ściśle z pierwiastkiem intelektualnym. Autor ilustruje to popularnie na kilku przykładach, następnie zbija twierdzenie Taine'a, który w zupełności prawie wyłącza ze sztuki pierwiastek subjektywny, przyznając mu natomiast słuszność zupełną tam, gdzie twierdzi, że im większy jest artysta, tem głębiej ujawnia nam ducha, a więc ideę rasy swej i epoki (Michał Anioł, Rubens). Dzieło sztuki jest ideowem także wtedy, gdy odźwierciedla dokładnie jakiś stan psychiczny (Boecklina „Milczenie w lesie“, pejzaże Chełmońskiego). Zapewne, że z malarskiego punktu widzenia jednakową wartość przedstawia Zamoyski pod Byczyną i Kaśka z rzepą (Witkiewicz), z dwóch dzieł jednak, równych pod względem wartości technicznej, dzieło, posiadające głęboką ideę, o cało niebo wyżej stać będzie od dzieła, idei tej pozbawionego (Michał Anioł a Rafael). Samej idei jednak za mało, aby dziełu sztuki zapewnić trwałość — szata powinna odpowiadać ciału, które odziewa. Musi jednak istnieć i pokrewieństwo pewne pomiędzy ideą, a tym odłamem sztuki, w którym ona ma się objawić. Są idee, nadające się więcej do traktowania malarskiego, inne więcej do traktowania literackiego i t. p.

W jaki sposób dana idea ulegać musi różnym zupełnie przeobrażeniom, jeżeli różne odłamy sztuki odzwierciedlić ją pragną, o tem poucza nas wybornie przykład marsza żałobnego w interpretacji Szopena, Ujejskiego i Podkowińskiego... Naodwrót forma zewnętrzna dzieła odpowiadać również powinna jego idei. Tutaj, jak i tam, jedynem właściwie prawem jest zmysł artystyczny, smak i intuicja twórcy. Sztuka prawdziwa była zawsze i musi być ideową. Pomimo wszelkich haseł „sztuka dla sztuki“ i t. p., staje się ona nawet coraz bardziej ideową, intelektualną i zgadza się pod tym względem najzupełniej z ogólną ewolucją duchową człowieka; sztuka zudełnie bezideowa istnieć nie może i nie istnieje... Książeczka ta, pomimo nieuniknionych w danym wypadku powierzchowności, spełnia wybornie zadanie, jakie sobie pożyteczna i blisko 100 tomików już obejmująca publikacja p. Arcta jako cel przewodni wytknęła.

A. C.

*

Kazimierza Brodzińskiego „Wspomnienia mojej młodości“ i inne urywki autobiograficzne, wydał i wstępem opatrzył prof. Józef Tretiak. Kraków 1901. Spółka wydawnicza polska. 8-ka str. 88; 1 nl.

„Los, który prześladował Brodzińskiego w dzieciństwie, zaciężył i na wspomnieniach z jego dzieciństwa i czasów szkolnych“ — powiada słusznie wydawca w przedmowie. Drukowane fragmentarycznie w „Przyjacielu ludu“, wychodzącym w Lesznie, to w dodatku do „Gazety porannej“, to w „Przeglądzie naukowym“ — nie dochowały się do nas w całości. Jakieś *fatum* albo zniszczyło lub zapędziło w ukrycie rękopis całości pamiętnika Brodzińskiego, bo jeszcze około roku 1840 wiadomy był cały manuskrypt. Niepowetowaną byłoby to szkodą, gdyby rzecz zaginiona — okazała się istotnie straconą, ze względu na niepospolite zalety, jakiemi odznaczają się wszystkie karty dotąd ogłoszonych wspomnień, a tak mało znanych.

Z niewysłowioną lubością, rzewną słodyczą i ukochaniem prawdziwem opisuje Brodziński lata swoje pacholęce — nie „sielskie, anielskie“, lecz natomiast pełne łez i bolu. Pozostawiony po zgonie matki samemu sobie, gdyż zła macocha nie troszczyła się wcale o dziecię cudze, chętnie garnął się mały Brodziński na łono natury, a w dalszym ciągu do ludu. Wynurzenia jego, jakie w tej mierze czyni, są ważnym dokumentem do zrozumienia późniejszej twórczości poetyckiej. „W towarzystwie — powiada Brodziński — w jakiem żyłem, najwięcej między kobietami prostemi, nasłuchałem się różnych opowieści o duchach, zabobonach i czarach... Temu także życiu z wieśniakami winienem, iż dotąd daleko łatwiej umiem postawić się w stanie prostych ludzi, niżeli wykształconych wychowaniem, z jakiemi później żyłem. Kilka słów wieśniaczki dosyć są *(sic!)* dla mnie, iżbym wszedł w ich uczucie“. (str. 31—32). Lub dalej: „Do dziś dnia wiejskie wesele nie jest dla mnie obojętne i oburza mnie w du-

chu każdy wyraz wyższego stanu, gdy sobie pozwala żartować, lub okazuje obojętność na ten akt jedyny w życiu wieśniaka, który dla niego jest uroczystym“. (str. 39). Chętnie brał mały chłopczyna udział we wszystkich dorocznych uroczystościach wiejskich, kościelnych i domowych. Że to wszystko, że wspomnienia lat tych wioskowych, hulanki weselnej, odezwały się później w poezji Kazimierza z Królówki — nic w tem dziwnego, boć przecież żaden wiek nie chłonie w siebie tylu wrażeń, ile zaranny. Klasyk, wychowany i wyhodowany w regułach teoretyków poezji pseudoklasycznej, kształcony na sielankach Gessnera, nie potrafił, mimo tej, tak żywej i niekłamanej sympatji dla ludu, oddać wsi i życia chłopskiego takiem, jakiem ono było w istocie. Rozlewna tkliwość, sentymentalna uczuciowość brały górę. Stąd też postacie chłopskie wychodziły w jego utworach inaczej, niźli czuł je poeta. Bądź co bądź jednak — wieś pozostawiła niestarte po sobie ślady w całej twórczości Brodzińskiego, a wesele w „Wiesławie“ bez wątpienia zostało określone na podstawie wrażeń, jakie zachował poeta w swojem sercu od czasu pobytu w Lipnicy murowanej. Dalsze rozdziały opowiadają o latach szkolnych, pełnych biedy i kłopotów i na tem urywają się wspomnienia. W dodatku ogłoszono tutaj „Urywki z dziennika wojskowego z r. 1813, oraz urzędową autobiografję poety. — Kończąc nasze sprawozdanie raz jeszcze powtarzamy, iż wartość „Wspomnień“ jest wielka. Korzystać z nich będzie każdy, kto zechce pisać o Brodzińskim. Nie mniejsze znaczenie mają one jako nad wyraz miła lektura, pociągająca czarem opowiadania i serdecznością wierzeń. *wi.*

SZTUKA. *Wspaniały dar.* Warszawskie Tow. Sztuk Pięknych otrzymało od p. Matiasza Bersona wielki zbiór dzieł sztuki przeważnie mistrzów dawniejszych, będący owocem zamiłowania i pracy lat kilkudziesięciu szlachetnego ofiarodawcy.

W zbiorze znajduje się 196 prac artystów polskich i 39 artystów zagranicznych, czyli razem 235 dzieł. Są to rysunki, szkice i akwarele malarzy polskich i obcych, już nieżyjących, ma więc on przedewszystkiem znaczenie historyczne i dla studjów nad dziejami malarstwa w Polsce przedstawia zasobny materjał do zużytkowania.

Do najdawniejszych okazów należą szkice i rysunki Szymona Czechowicza (1689—1775), który był pierwszym malarzem polskim o większym zakroju na polu malarstwa religijnego. W zbiorze znajduje się kilka prac Czechowicza: „Projekt wielkiego ołtarza w kościele św. Krzyża w Warszawie“, „Wniebowzięcie Chrystusa Pana“, „Sceny religijne“, „Wizerunek św. Rocha“, „Plafon kościoła w Rawie“.

Potem następują prace artystów: Zygmunta Vogla, przezwanego „Ptaszkiem“ (1764—1826) „Krajobraz skalisty“, Św. Piotr uwolniony z więzienia“, „Widok Łobzowa pod Krakowem“. Jana Piotra Norblina (1745—1830) „Szkice bitwy“, „Krajobraz“, „Scena ludowa w Starym Rzymie“. Marcelego Bacciarelliego (1731—1818), „Scena rodzinna“. Franciszka Smuglewicza (1745—1807), wybitnego malarza z doby stanisławowskiej, twórcy wielu obrazów historycznych i religijnych, „Pokłon trzech króli“. Karola Wojniakowskiego (1772—1812), wielce utalentowanego artysty, „Nad Grobem“, „Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus“, „Nad strumykiem“, Aleksandra Orłowskiego (1777—1832), który jako malarz scen potocznych z życia ludu i wojaków celował głównie w robotach gwaszowych i akwarelą, tudzież w rysunkach piórem, kredką i ołówkiem, „Kozak na koniu“, „Odźwierny pałacowy“, „Krajobraz“. Jana Chrzciciela Lampi'ego (1751—1830) „Portrety“. Aleksandra Molinari'ego (1772 do 1831), znakomitego w swoim czasie minjaturzysty, „Portret Izabeli ks. Czartoryskiej“, „Portret damy“. Michała Płońskiego (1782—1812), znakomitego rytownika, różne rysunki. Michała Stachowicza (1768—1835), krakowianina, „Św. Jakób“. J. B. Plerscha (1732—1817) „Koronacja króla Henryka Walezjusza“, „Scena biblijna“, „Jagiełło radzi się starszych co do planów miasta“, „Cztery pory roku“ i „Szkicu do transparentów“. Lerue „Widok Krakowskiego Przedmieścia w Warszawie“ i „Kościół Wizytek w Lublinie“. Jana Feliksa Piwarskiego (1794 do 1859) „Wizerunek starego żyda“, „Stare drzewo“. Aleksandra Kokulara (1793—1846) „Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus“, Św. Aleksander, męczennik“. Ignacego Suchodolskiego (1797—1875) „Serb“, „Obóz“, „Prośba Duchownych“.

Zbiór nadto zawiera pracę: I. Gierdziejewskiego, K. Kaniewskiego, J. Dembowskiego, R. Hadziewicza, J. Szermentowskiego, B. Podczaszyńskiego, B. Dąbrowskiego, A. Głębockiego, C. Norwida, A. Głowackiago, W. Gersona, I. T. Polkowskiego, Murzynowskiego, S. Marszałkiewicza, M. Gierymskiego, Pillatich i w. in.

Dział artystów zagranicznych obejmuje prace, począwszy od drugiej połowy XVII. stulecia.

NOTATKI. *Brewiarzyk fotograficzny* Wiktora Wołczyńskiego. Lwów 1902. Główny skład w księgarni H. Altenberga. Dziełko to oparte na dziełach najwybitniejszych zagranicznych fachowców i na własnej kilkunastoletniej praktyce autora, obejmuje we formie recept około dwustu praktycznych wskazówek niezbędnych i koniecznych dla adeptów sztuki fotograficznej. Nie jest to, jakby z tytułu przypuszczać można, dziełko służyć mogące początkującym amatorom, lecz jest ono przeznaczone dla doświadczeńszych już dyletantów i fachowych fotografów. Komu z nich wiadomo z własnego doświadczenia, jak trudno nieraz bywa uzyskać dobrą i wypróbowaną receptę, ten ocenić zdoła wartość pracowitej książeczki p. Wołczyńskiego, która dla każdego fotografa wielce cennym stanie się poradnikiem.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8